


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 111

№ 21. | Warszawa, 19 października (1 listodada) 1903 r. | Rok V.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.




W szponach orła.

# ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

## Wiktora Stephana.

*(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.)*

ROZDZIAŁ I.

Wstęp.— Opisanie zająca. — Rozmieszczenie geograficzne — Cechy zewnętrzne.—Uzębienie i żołądek.

Zająca, pomimo jego popularności, spotykamy w niektórych okolicach kraju naszego tylko w małej ilości, a przecież ze względu na pożytek, jaki nam przynosi, zasługuje on na jaknajszersze rozpowszechnienie.

Kierując się tą myślą, rozpisał Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego polowania i ochrony zwierzyny łownej, konkurs na monografię zająca, chcąc w ten sposób rozpowszechnić prawidła, zmierzające do podniesienia zwierzostanu w kraju.

Zadaniem więc niniejszej pracy będzie głównie podanie wskazówek, któremi do podniesienia zwierzostanu przyczynić się można.

Aby jednak wskazówki były zrozumiałe, musimy poprzednio poznać naturę zająca.

Zając należy do zwierząt kręgowych *(Vertebrata)*, do rzędu gryzoni *(Rodentia)*, do familii zającowatych *(Leporidae)*.

Zając pospolity, zwany powszechnie w języku myśliwskim „kotem“ lub „szarakiem“, a w niektórych okolicach także „kopyrą“ lub „spiuchem“, zamieszkuje równiny, okolice bagniste i pagórkowate. Żyje w polach i lasach, woli jednak przestrzenie, pokryte małemi lasami. W takich to miejscach przebywa w całej środkowej i południowej Europie. Ku wschodowi sięga do Kaukazu, Uralu i zachodniej części Azyi, ku północy do gór szkockich, w Rosyi do jeziora Ładogi i Onegi, ku południowi—do południowej Francyi i północnych Włoch. W Szwecyi i Norwegii niema go. Zając postępuje coraz dalej na wschód i tam, gdzie przed czterdziestu laty nie było go wcale, dziś jest już w pokaźnej liczbie, a mianowicie, w stepach Kirgizkich, położonych na północ od morza Kaspijskiego.

Z rozsiedlenia tego widocznem jest, że zając należy do zwierząt stepowych. Przedgórza zajmuje dosyć chętnie, w środkowej Europie nie posuwa się jednak wyżej, jak na 1000 do 1600 metrów ponad poziom morza, i jedynie na Kaukazie żyje jeszcze w górach na wysokości do 2000 metrów.

W górach, gdzie już zwyczajny zając nie sięga, występuje zając bielak *(Lepus variabilis)*, jak np. w Alpach, również w północnych guberniach państwa Rosyjskiego bielak zastępuje szaraka. Nazwy zaś: polny, leśny, górski, błotniak i t. p. pochodzą od miejsc, w których przebywa.

W Ameryce znajdujemy również zająca, jest on jednak mniejszy od pospolitego i dla odróżnienia zowią go zającem amerykańskim *(Lepus americanus)*, a także, chociaż niewłaściwie, królikiem, gdyż w Ameryce dzikich królików niema.

W Ameryce żyje także i biały zając *(Lepus virginianus)*.

Zatem prócz Afryki i Australii, zamieszkuje nasz zając cały świat, zachowując główne swoje cechy, chociaż w odmiennej nieco formie.

Powiedzieć można, że prawie bezwzględnie najobfitszą krainą w zające są Czechy, na obszarze bowiem okrągło 50,000 kwadr. kilometrów zabijają rocznie 500,000 sztuk zajęcy. W jakim stosunku stoją te cyfry do naszych rezultatów, pokaże może przyszła statystyka, dziś tylko na pewno możemy powiedzieć, że na obszarze około 150,000 kwadratowych kilometrów, jakie kraj nasz obejmuje, nie zabijamy rocznie 1,500,000 zajęcy.

Zając już po pół roku życia zdolny jest do rozpłodu—do zupełnego jednak rozwoju potrzebuje całego roku. Wówczas mierzy około 50 do 56 ctm. długości, a około 26 ctm. wysokości. Waga zająca jest według pory roku, pożywienia i miejsca pobytu, różna i wynosi od 3-ch do 6-ciu klgm. Zając ma głowę okrągłą, do tyłu nieco wygiętą i na skroniach zwężoną. Czoło wypukłe, pyszczek krótki i gruby. Otwory nosowe robią wrażenie drugiego pyszczka z powodu charakterystycznego przedziału górnej wargi.

# NA ROJSTACH LITEWSKICH.

*(Ciąg dalszy.)*

Po półgodzinnym marszu przez las, zmoczeni obtrząsaną z igieł i mchu, rosą, wyszliśmy na miejsca, na których las począł się niższy, rzadszy i jeszcze więcej opanowany przez mech. Stąpaliśmy po miękkim mchu, a nogi zapadały się co chwila w torf, zostawiając w wyciśniętych stopami, śladach wodę. Byliśmy na torfniakach, nazywanych tu rojstami.

Dwa są rodzaje rojstów: mokre i suche rojsty. Jedne i drugie tem się odznaczają, że rosną na torfie, który stanowi charakterystyczną ich cechę. Stosownie do tego, czy położenie jest wysokiem i pokład torfu suchym, czy też bagnistym, rojst nazywają suchym lub mokrym. Istnieje jeszcze i trzecia nazwa, bardzo blizka dwóch pierwszych: „mszarnik“.

Mszarnik jest to miejsce zupełnie bagniste, najczęściej kotlina wśród wilgotnego rojstu. Po rojstach można chodzić, na mszarniku śmierć czyha na śmiałka za pierwszym zaraz krokiem, któryby postawił na lonej, nęcącej powierzchni. Mszarnik bowiem, jak ierdził Jan, „nie ma dna“.

Za mego pobytu na Litwie, w jednym z sąsiednich zaścianków wilki wpędziły konia na mszarnik. Zaledwie przednie nogi biednej szkapy dotknęły zwodniczego gruntu, zapadł się przodem z głową. Ubezwładnionego w ten sposób, wilki obgryzły z tyłu do kości. I mój kolega, i doświadczony Jan, zalecali mi więc wielokrotnie, żeby mszarników strzedz się, jak ognia, bo śmierć w nich czatuje.

Wyraźnych granic między temi miejscami niema i każdy suchy rojst, zniżając się, przechodzi w mokry, w którym znowu najniższe miejsca, jak studnie, stanowią mszarniki.

Chodzenie po rojstach należy do najtrudniejszych, jakie znam, bo w pokładzie miękkiego, grząskiego torfu leży mnóstwo niezgniłych sęków i gałęzi, które kłują stopy za każdym krokiem. Na powierzchni rosną wysokie trawy, albo wrzos, plączący się dokoła nóg, ignących w torfie, a sama powierzchnia nie jest równą, tylko usianą kępami, o które myśliwy potyka się co chwila, rozbijając sobie palce u nóg. Nie wiem, jakie obuwie byłoby najodpowiedniejsze. O długich butach nie może być mowy, bo te, zwłaszcza oblepione torfem, byłyby za ciężkie i, jak mówili miejscowi myśliwi, trzebaby „zostawić nogi“ na pierwszej wiorście. Angielskie sznurowane trzewiki byłyby odpowiednie, gdyby nie haki, zaczepiające się o trawę i wrzos. Idąc za przykładem mego kolegi, wdziałem litewskie chodaki ze skóry, sznurowane rzemieniami. Okazało się jednak, że i te nie są praktyczne, bo skóra za cienka nie chroni dostatecznie podeszwy, zwłaszcza rozmięknięta. Z początku wydało mi się, że mam

Po obydwu stronach nosa ma po kilka czarnych szczecinowatych włosów. Włosy te, czyli wąsy, zowią strzyżami.

Uszy, czyli słuchy, są lejkowate, łagodnie zaokrąglone, dłuższe od głowy i krótkim włosem pokryte. Końce uszów czarne. Głowa pokryta białawo-szarym i brunatnym włosem. Po bokach nosa, koło oczów, aż do nasady uszów ciągnie się wązki pasek białych włosów.

Nos żółto-brunatny, ciemię czarno-żółto-brunatne, podgardle białe, niżej żółto-brunatne.

Grzbiet do połowy boków czarno-brunatny i żółty, boki przednie i tylne skoki są brunatnawo-żółte. Uda pokryte są częścią włosem popielato-szarym, częścią jasno-brunatnym.

Podbrzusze jest białe.

Ogonek, czyli „kosmyk", „osmyk" lub „omyk", mierzy 4—6 ctm., czysto białym, puszystym włosem pokryty, z cienką, czarną pręgą z wierzchu. Oczy, czyli „trzeszcze" lub „patryszczoko", na głowie osadzone, są brunatno-żółte, okrągłe, wypukłe, względnie duże i bez wyrazu. Wprawdzie zając nie posiada bystrego wzroku, widzi jednak dosyć dobrze, szczególnie na boki, w czem mu osada oczów po bokach głowy dopomaga, widzi bowiem we wszystkich kierunkach. Oczy nie posiadają ani rzęs, ani powiek, dlatego we śnie zając oczy ma z konieczności otwarte. Brak powiek jednak nie należy uważać za zupełny, w razie bowiem, gdy oko jest zagrożone, potrafi zając, chociaż z wysiłkiem, na chwilę je przymknąć i od ewentualnego obrażenia uchronić.

Szyja jest krótka, gruba; przód, czyli piersi szczupłe; ciało równo-wązkie, prawie walcowate.

Przednie skoki są słabsze i o połowę krótsze od tylnych, mięśniami jedynie przymocowane do reszty ciała.

Tylne, jako do skoku zbudowane, są silne i, jak wyżej powiedziano, dwa razy dłuższe od przednich, dlatego, chociaż najwolniej przenosi się z miejsca na miejsce, zawsze „kica" i dla tej samej przyczyny łatwiej mu „kipić" pod górę, aniżeli z niej „kicać". Czy zaś „kipi", czy „kica", „susa", albo „słupki stawia", zawsze wspiera się na całych tylnych skokach od kolan do pięty i na nich cały ciężar ciała opiera. Jedynie w wyjątkowych wypadkach, jeżeli coś szczególniejszego zauważy lub zwietrzy, idzie wówczas kilka kroków na czterech, przyczem jednak wygląda bardzo niezgrabnie. Podeszwy przednich, a szczególnie tylnych skoków pokrywa gęsty, wełnisty włos. Podczas dłużej trwającego, suchego mrozu lub podczas posuchy, wyciera sobie zając podeszwy do nagiej skóry.

Przednie skoki opatrzone 5-ma, a tylne tylko 4-a palcami, uzbrojonemi w wązkie, wyżłobione pazury, zakrzywione ku dłoni. Drugi pazur od zewnątrz jest największy. Członek męzki w czasie spokoju zwrócony jest ku tyłowi, tak, że samiec, czyli „gach", oddaje mocz, podobnie jak samica, do tyłu. W czasie spółkowania sierpowato w tył wygięty członek, prostuje się ku przodowi. Jądra są tylko w czasie parkatów nabrzmiałe i widoczne, u młodego jąder nigdy wyczuć nie można. Samo jądro, około 3 do 4-ch ctm. długie, w skórze, pokrytej włosem, jest formy uszkowatej i odznacza się na zewnątrz kolorem ciemno i sinoczerwonym.

*D. c. n.*

# Prochy małodymne

przez

**Władysława Słonczyńskiego.**

(*Dalszy ciąg*).

Używania gilz powtórnie, należy się wystrzegać; przy najstaranniejszem bowiem zakładaniu nowych kapiszonów, zaciąganie strzału często się zdarza, a wobec taniości jednorazowych gilz z krytym kapiszonem Gevelota, jest to nawet zbyteczne.

Zastanówmy się teraz nad wpływem średnicy przybitki prochowej na szybkość początkową śrótu i ciśnienia gazów.

Używając przybitki prochowej mniejszej średnicy, osiągniemy ciśnienia mniejsze (zależne od mniejszego oporu ciśnienia powietrza) od ciśnienia przybitki większej średnicy. W pierwszym, nieznacznym przeciągu czasu po zapaleniu się prochu, śrót, pod wpływem tworzących się gazów, przy przybitce mniejszej średnicy przejdzie większą drogą po kanale lufy

---

skrzydła u nóg, tak łatwo i lekko było mi chodzić. Po godzinnym jednak marszu, czy to wskutek rozmięknięcia skóry, czy też moje nogi stały się wrażliwszemi, każdy krok, stawiany na ukrytym w torfie sęku, sprawiał mi ból, a do domu wróciłem z nogami opuchłemi i piekącemi, jak gdybym chodził po świeżo wysypanej szosie. Nauczony doświadczeniem, obułem nazajutrz miejskie kamaszki, ale te zostawały w błocie i wyciągałem z nich nogi. Pozostałem więc nadal przy miejscowych łapciach, zabezpieczając tylko nogi kilku parami skarpetek.

Co się tyczy reszty ubrania, tam, jak i wszędzie, gdzie myśliwy narażony jest na gorąco w dzień, a wilgoć i chłód w nocy, koszula z cienkiej flaneli oddaje niezmierne usługi i jest najwygodniejszem i zarazem najzdrowszem ubraniem. Istnieje powszechnie między myśliwymi przekonanie, że flanela jest latem za gorąca. Jest to stanowczo fałszywe, zwłaszcza, jeżeli wełna jest cienka. Wentylacya, niezbędna dla spoconego ciała, jest przy flaneli daleko dokładniejszą i łatwiejszą, niż przy płótnie i perkalu, które to tkaniny, raz zmoczone potem, stają się zupełnie nieprzepuszczalnemi dla parującego dalej z ciała, potu. Wiedzą o tem doskonale Anglicy i Francuzi, ubierający się podczas pobytu w swych podzwrotnikowych koloniach, jedynie we flanelę.

Ale wracam do naszego rannego polowania i do miejsc, w których szukaliśmy łupów.

Otóż, jeżeli chodzenie po mszarnikach grozi śmiercią, nie idzie zatem bynajmniej, żeby chodzenie po rojstach było łatwem i przyjemnem. Tęgo już zmachani, doszliśmy wreszcie do miejsc, na których torfu już nie było, a zaczęły się suche, wysokie zagajniki, rosnące dziko i gęsto, zmieszane z jałowcem. Psy szukały skwapliwie, zacinając się często na starych śladach. Black, przywykły do szukania w otwartych polach, gdzie chodził tak daleko, jak mu się podobało, nie rozumiał, dlaczego trzymam go ciągle przy nodze. Jako pointer, był on psem, zupełnie do polowania w gąszczu nieodpowiednim, bo wietrzył daleko i niknął mi ustawicznie z oczu. Na Litwe najodpowiedniejszą rasą psów są setery, idące chętnie na błoto i bardzo karne. Black zresztą, dzięki ogromnemu doświadczeniu i posłuszeństwu, był mi niezmierną pomocą, tem więcej, że nos miał, od miejscowych psów nieskończenie lepszy, i raz wpadłszy na świeży trop, już z niego nie schodził.

Pierwszą, wystawioną przez Blacka sztuką, była stara cieciorka. Byłem już kapitalnie znudzony i zniechęcony, kiedy spostrzegłem Blacka, wyciągniętego do krzaka jałowca. Serce mi zabiło i w mgnieniu oka byłem tuż przy nim. Nie zdążyłem tchu złapać, kiedy z krzaka podniósł się duży, szary ptak, szybko machając skrzydłami i silnie łopocąc. Nie uleciał dziesięciu kroków i padł, rażony strzałem.

Popełniłem czyn wielce niemyśliwski, zabijając samkę. Uszło mi to, jako gościowi. Zresztą byłem no-

aniżeli przy przybitce o większej średnicy. Wskutek tego w pierwszym wypadku, dalsze spalenie się prochu będzie się odbywało na większej przestrzeni, t. j. prężność gazów, od których zależy wielkość ciśnień, będzie mniejsza—ponieważ ciśnienie gazów prochowych przy początku biegu ładunka śrótu przy mniejszej średnicy przybitki będzie mniejsze, niż przy przybitce o większej średnicy, to szybkość spalenia się prochu, zależna od ciśnienia, w pierwszym wypadku będzie mniejsza, dlatego też dalsze rozwinięcie gazów odbędzie się wolniej, a zatem pełne ciśnienie po kanale lufy będzie mniejsze.

Początkowa szybkość śrótu, zależna od siły oddzielnych pchnięć, jakich ona doznaje na swej drodze, będzie naturalnie tem mniejsza, im te pchnięcia będą mniejsze. Silniejsze przybicie prochu oddziaływa na lepsze zapalenie się ładunku tegoż, a od tego zależy i szybkość śrótu, i ciśnienie gazów prochowych. Wielkość średniego ciśnienia gazów przy ściśle kalibrowych przybitkach mniejsza jest o 55 atmosfer od ciśnienia, rozwijanego przy przybitce właściwej, czyli od 1 do 2 milimetrów średnicy, większej od średnicy lufy w najszerszem miejscu. Szybkość zaś początkowa zmniejsza się przy tych samych warunkach o 7%.

Brouns zastanawia się nad pytaniem, co jest właściwsze i dogodniejsze, czy brać większy ładunek prochu i przybitkę mniejszej średnicy, czy mniejszy ładunek prochu a przybitkę większą? My, wychodząc z założenia niejednokrotnie już przytoczonej zasady „potrzeby doskonałego uszczelnienia", nie będziemy brali w rachubę tej teoryi, która zresztą tylko przy ziarnistych prochach małodymnych może mieć racyę bytu i zastosowania; wrócimy jednak na chwilę do niej przy rozbieraniu wpływu ciśnień.

Brouns podaje rezultaty prób z przybitkami Eley'a Kazicina Nr. 0 i Kazicina sukienne („Stary Sibirak") uznając, że Kazicina Nr. 0 wysokości $^3/_8$ cala ang. są najlepszemi prochowemi przybitkami, a przekonanie to podzielam w zupełności, używając wymienionych przybitek od lat kilku.

Badając tablice ciśnień, uważamy, że one wzrastają ze zmniejszeniem się twardości— a przy jednej i tej samej twardości ze zwiększeniem się średnicy śrótu. Zwiększenie się ciśnień przy użyciu miękkiego śrótu zależy od większego tarcia miększego śrótu o ścianki luf. Opierając się na tem, dochodzimy do przekonania, że przy używaniu prochów małodymnych, które w większości wypadków, rozwijają ciśnienia większe od prochów czarnych, *musimy używać śrótu twardszego*, ostrość bicia jest wyższa, a mniejsze ciśnienia nie będą szkodliwie oddziaływały na ścianki luf.

W poprzednim numerze „Łowca Polskiego" wskazywałem na konieczność dosunięcia przybitki prochowej silnym naciskiem ręki. Brouns robił doświadczenia przy: 1) dosunięciu przybitki, 2) przy wtłoczeniu jej naciskiem 30 funtów i 3) ugnieceniem ładunka prochu na 8 mm. W porównaniu z pierwszym sposobem ścisłość przybicia w *ostatnim* jest dwa razy większa; przypatrując się rezultatom, widzimy, że szybkość początkowa podniosła się o 15 metrów, ciśnienia zaś gazów zwiększyły się na 60 atmosfer, z czego widzimy, że w ostatnim wypadku wielkość ścisłości przybicia okazała wpływ i na szybkość początkową, i na ciśnienia gazów. Wielkość ciśnienia i w ostatnim wypadku nie przenosiła 500 atmosfer — czyli, że ugnieciony nawet ładunek prochu Liszewa, nie może być dla broni niebezpieczny. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na to, że ostatni sposób uciśnięcia prochu można wywołać tylko sztucznie, a nigdy ręką, to przyjdziemy do przekonania, że siłą ręki możemy wtłaczać przybitkę prochową bez obawy żadnej. Że zaś mocne przybicie prochu jest dla doskonałego jego zapalenia konieczne, widzieliśmy wyżej. Badając własności balistyczne prochu małodymnego, koniecznie potrzeba wiedzieć, jak one się zachowują wobec zmian atmosferycznych lub też sposobu przechowywania gotowych już ładunków. Dla odbycia takiej próby, należy zrobić kilkadziesiąt ładunków prochem, którego stan suchości wpierw ustanowić trzeba. Trzecią część ładunków obrócić trzeba na oznaczenie szybkości początkowej i ciśnień prochu, dwie zaś pozostałe ilości ładunków umieszcza się: jedną w pokoju, gdzie przeciętna temperatura wynosi 20° R., drugą zaś w obrębie lodowni. Po dwumiesięcznym przeciągu czasu określa się szybkości i ciśnienie odpowiednich seryj.

W tych warunkach każdy proch będzie odmiennie się zachowywał: 1) prochy mieszane, ziarniste (Schultze, E. C., Walsrode, Fasan etc.) dadzą nadzwyczajne różnice, z jednej strony wprost zabójcze dla broni, jak:

---

wicyuszem i mimo szczerej chęci, nie potrafiłbym był rozróżnić cieciorki od cietrzewia. W duszy myślałem sobie zresztą: „Jeżeli myślicie, że przyjechałem pięćdziesiąt mil i łażę teraz od świtu, zrywając na torfie nogi, żeby widzieć zrywające się cieciorki i nie strzelać, to się mylicie". Ostatecznie Jan wpakował mój łup do torby i ruszyliśmy dalej do łąk i moczarów, gdzie spodziewane były głuszce.

Z suchych zagajów zeszliśmy znowu na mokre łąki, porośnięte gęstą trawą i wikliną, które przechodziły z kolei miejscami w jakieś obeschnięte bagna, na których rosła i trzcina. Miejscowość miała pozór niezmiernie dziki i dziewiczy, a ciągnęła się, jak okiem sięgnąć. Nietylko głuszec, ale łoś, ukazujący się na tem tle, nie byłby mnie zdziwił. Rozciągnęliśmy się szerokim łańcuchem, zajmując dużą przestrzeń łąki.

Chwilami towarzyszy swoich traciłem z oczu, potem znów widziałem ich głowy nad lasem trzcin i wikliny. Szliśmy wolno naprzód tym miarowym krokiem myśliwego, idącego za szukającym wyżłem, który to ruch robi nas podobnymi do bocianów. Środkiem szedł mój kolega, prawego skrzydła bronił stary Jan, lewe ja zajmowałem, hamując nieustannie gorącego Black'a, który odbiegał ciągle za daleko.

Pusto było dokoła. Ani ptaszka, ani motyla, ani nawet komarów nie było w tych miejscach głuchych i bez życia. Słońce wzbiło się tymczasem wysoko i przygrzewało mocno, bo wiatru nie było. Nad sitowiami trzęsło się powietrze. W końcu ogarniać mnie poczęły nudy i zniechęcenie w tej pustce, gdzie nic nic się nie ruszało, niczego nie było, na czem można by zatrzymać oko. Wspomniałem polowania w Królestwie, gdzie od siódmej do jedenastej dać można było pięćdziesiąt strzałów. Zacząłem już żałować swej ekskapady, dającej przyjemności stanowczo za mało, wobec strasznego zmęczenia i trudów, z któremi musieliśmy się łamać.

Naraz tuż koło mnie, Black zaciął się przed dużym, płaskim, jak plaster pleśni, krzakiem wikliny. Spuścił wzniesioną do góry, łapę, postąpił krok naprzód i znowu stanął, mijając krzak bokiem. Nuda, zmęczenie i zły humor odleciały odemnie na ten widok. Pies stał ciągle, jakby przed nim wzniósł się nagle niewidzialny a nieprzebyty mur, przez który nie mógł się przełamać. Czując mnie blizko, zachęcany mem cichem „allons Black, allons", ruszył dalej tym miękkim, pełzającym krokiem wyżła, czującego zwierzynę w pobliżu.

(*D. c. n.*)

| | | | |
|---|---|---|---|
| Imp. Schultze | normalnie 714 atm., | przesusz. | 1027 atm. |
| Fasan | „ 506 „ | „ | 792 „ |
| Walsrode | „ 673 „ | „ | 903 „ , |

z drugiej zaś strony nadzwyczajny spadek szybkości początkowych, gdy znów:

2) żelatynowane, odznaczające się, jak już pisałem, wielką jednostajnością działania, gdzie zatem i różnice tak szybkości, jako też i ciśnień będą zarówno dla broni, jak i dla charakteru strzału prawie obojętne.

Brouns znalazł, że proch Liszewa, przesuszony w ładunkach, podwyższył ciśnienia gazów zaledwie o 50 atmosfer, dając te same normalne szybkości; ładunki, które leżały w lodowni, dały ciśnienie mniejsze o 50 atmosfer; szybkości zaś mniejsze o 24 metry — przyczem żaden z tych ładunków nie dał zaciągniętego strzału.

Wyniki te przekonywują nas, że proch Liszewa jest nadzwyczaj jednostajny w swem działaniu, nie zmieniając prawie swoich balistycznych własności nawet wtedy, gdy znajduje się w warunkach tak nieprawdopodobnie anormalnych, jak te, któreśmy przytoczyli.

Zastanówmy się teraz nad zależnością początkowych szybkości i ciśnień gazów od wielkości ładunków prochu i śrótu.

Brouns wychodził z założenia ładunka prochu 47 doli = 2,088 grama, biorąc do tego ładunki 32,37 i $41^1/_2$ gr. śrótu, przyczem wagę wszystkich przybitek (Field, tłuszczona prochowa i tłuszczona śrótowa) brał również na uwagę, a waga tych przybitek wynosi:

przy prochowej Kazicina Nr. 0 kal. 10 = 2,5 grama
„ „ Eley'a Nr. 0 „ 10 = 3,32 „ .

Porównywając wielkości początkowych szybkości i ciśnień w całym szeregu tablic, których nie widzę potrzeby podawania tutaj, przekonamy się, że różnica między niemi nie dochodzi nigdzie nawet do 1%. Przy pomocy formuł odpowiednich możemy wyliczyć z całą dokładnością szybkości śrótu, a krzywe, narysowane na mocy odpowiednich danych, dowiodą nam, że nigdzie nie naruszy się proporcyonalności między wielkościami ciśnień i szybkości. a wagą prochu i śrótu. To nam dowodzi, że proch Liszewa działa zupełnie jednostajnie i że nawet tak wielkie ładunki, jak te, które poddawał próbom Brouns, (stosunek 2,088 do 37,33, jakiego my nigdy nie użyjemy) zupełnie jest bezpieczny; przy żadnym zaś z wymienionych ładunków ciśnienia gazów nie zwiększały się w stosunku wyższym w porównaniu z powiększaniem ładunka prochu i śrótu.

Wyżej zwróciłem uwagę na tę okoliczność, że często zdarza się słyszeć, iż strzelec dla osiągnięcia odpowiedniej początkowej szybkości, waha się, czy dać przybitkę większej średnicy, czy dać przybitkę właściwego kalibru, a zwiększyć ładunek prochu. Aby mu wskazać, jak ma postąpić, odniosę go do zasady uszczelnienia, a pozatem dowiodę na przykładzie, jaka droga jest właściwa.

Ładunek z przybitką 12 kalibru 2,088 grama, dał przy ciśnieniu 400 atmosfer, szybkość $V_0$ początkową 358 metrów; chcąc otrzymać $V_0$ szybkość 385 metrów, trzebaby powiększyć ładunek prochu o 0,24 gramma, a wtedy ciśnienie zwiększy się o 90 atmosfer, czyli P = 490; a ponieważ tenże ładunek prochu 2,088 przy przybitce 10 kalibru doznał ciśnienia 455 atmosfer, zatem przybitka 12 kalibru i większy ładunek prochu daje o 35 atmosfer ciśnienie większe!

*(D. c. n.)*

# XVI-ta DOROCZNA WYSTAWA PSÓW,

urządzona przez Towarzystwo miłośników psów rasowych.

*Petersburg, 4 października 1903.*

Przed półrokiem pisałem do „Łowca Polskiego“ o rozłamie, jaki nastąpił w tutejszem Towarzystwie, i o przyczynach tego rozłamu. Po ustąpieniu Dostojnego Prezesa i wypisaniu się 70-ciu najwybitniejszych przedstawicieli arystokracyi rosyjskiej, rodowej i urzędniczej, partya niemiecka pojęła swój błąd i starała się go naprawić. Było już jednak zapóźno i pomimo obiecywanych ustępstw, ani jeden z tych członków, którzy wypisali się z Towarzystwa, nie powrócił do niego. Najbliższem i najbardziej dotkliwem następstwem takiego stanu rzeczy, była niemożność urządzenia na wiosnę dorocznej wystawy psów w olbrzymim i znajdującym się w środku miasta, maneżu Michajłowskim. Po wielu staraniach zdołano nareszcie wynaleźć miejsce na urządzenie wystawy i otwarto ją w ubiegłą sobotę, t. j. 3 b. m. (n. st.), ale niestety, ani pod względem urządzenia, ani ilości wystawionych psów, ani pod względem frekwencyi publiczności, nie może ona się równać z wystawami lat poprzednich.

Wiadomo, że niepowodzenia prawie nigdy nie spotykają nas pojedynczo, lecz gromadzą się jednocześnie z różnych stron na nasze utrapienie. Tak też było i z obecną wystawą.

W sobotę, w dniu otwarcia, od wczesnego ranka padał gęsty śnieg, zasypując ulice grubą, topniejącą warstwą; wczoraj mieliśmy deszcz przy temperaturze +2°, a dziś, dla odmiany, przez cały dzień chlapie mokry śnieg z deszczem. Nic też dziwnego, że przy takiej miłej aurze, tylko najzapaleńsi amatorowie psiego rodzaju i handlarze, liczący na sprzedaż swych wychowańców, mogą się zdecydować na odbycie podróży do zoologicznego ogrodu, gdzie wystawa znalazła przytułek. Ogród ten znajduje się w części miasta, zwanej „petersburską stroną“; jest własnością prywatną i przez letnie miesiące bywa bardzo licznie odwiedzany przez mniej wybredną publiczność, żądną nie tyle oglądania zwierząt i ptaków, ile przeróżnych widowisk, następujących po sobie prawie bez przerwy od południa do północy. O urządzeniu w nim wystawy psów można było pomyśleć dopiero po zakończeniu letniego, złotodajnego sezonu, i to było główną przyczyną otwarcia wystawy w porze tak niewłaściwej; innego zaś, mniej więcej odpowiedniego miejsca w Petersburgu nie znaleziono. Trzeba przyznać, że i to, tak długo poszukiwane miejsce, okazało się pod wielu względami nieodpowiadającem celowi. Wystawa urządzoną jest na restauracyjnej werendzie, z jednej strony otwartej i mającej powierzchni nie więcej jak szóstą część michajłowskiego maneżu i o połowę od niego niższej. To też ciasnota tu straszna. Pomimo że ilość wystawionych psów nie dochodzi połowy zeszłorocznej, przejścia między ławami musiano zostawić bardzo wązkie; oświetlenie jest zupełnie niedostateczne; niema zupełnie ringów, to jest miejsc do oprowadzania psów przed sędziami; wreszcie chłód tak przejmujący, że większość psów, nieposiadających długiej i gęstej szerści, drży z zimna pod rozmaitemi czaprakami i kołderkami. Naprzeciwko otwartej strony werendy i w odległości kilku kroków od niej, znajduje się druga, znacznie mniejsza werenda, w której pomieszczono wojskową orkiestrę, a wejścia do przechodu między werendami zadrapowano płóciennemi firankami, co jednak niewiele wpłynęło na podniesienie temperatury wewnątrz. Zbyt głośna muzyka grzmi z całych sił, psy szczekają i wyją, starając się przekrzyczeć trębaczy; ciasno, ciemno i zimno, oto pierwsze, smutne wrażenie z tegorocznej wystawy, zupełnie harmonizujące z zewnętrzną aurą. O rzeczwistej

wartości wystawy, po za jej szatą zewnętrzną, napiszę po dokładniejszem rozpatrzeniu się w zebranych okazach.

*Petersburg, 7 października.*

Niestety, i staranne obejrzenie wystawionych psów, o ile to było możliwe w panującym mroku, nie mogło wpłynąć na zmianę pesymistycznego nastroju, spowodowanego jesienną pogodą i niewygodnem pomieszczeniem wystawy. Sprawia ona wrażenie jakiegoś naprędce zaimprowizowanego, psiego bazaru, którego głównym, choć zamaskowanym celem jest możliwie korzystna sprzedaż najrozmaitszej marnoty. Nad boksami znacznej ilości psów, jeżeli nie większości, przybite są karty z napisem: „na sprzedaż", z oznaczeniem ceny i zastrzeżeniem procentów od tranzakcyi na rzecz Towarzystwa. Wszystkie te psy, z bardzo małym wyjątkiem, są bez żadnej wartości. Prawdopodobnie Towarzystwo miłośników psów rasowych, nawet w swoim obecnym składzie, nie miało na celu ułatwiania zbytu łatwowiernej i nieznającej się publiczności, psów wadliwych lub wcale nierasowych. Ale właśnie dlatego, nie powinno było pokrywać swemi skrzydłami podobnego handlu. Wiadomo, że olbrzymia większość publiczności ma bardzo słabe pojęcie o rasowości psów; dla niej dostateczną gwarancyą rasy kupionego okazu, jest nabycie go na wystawie, urządzonej przez znawców i amatorów; tym więc sposobem Towarzystwo mija się z głównem swem zadaniem, pomagając do wprowadzania w błąd publiczności, którą powinno poglądowo nauczać. Przypuszczam, że w danym razie Towarzystwo dało się uwieźć chęci jaknajliczniejszego zgromadzenia psów na wystawę, choć ze szkodą jakości.

Na zakończenie powyższych, ogólnych uwag, dodam jeszcze, że wskutek niewłaściwej pory, wybranej na wystawę, większość psów nie mogła być pokazana w należytej, wystawowej szacie, co znacznie wpływa na obniżenie ich rzeczywistej wartości. Obecnie jest pora linienia, skutkiem czego psy długowłose, a szczególnie settery i ruskie charty, przedstawiają się niekorzystnie. Oprócz tego, po tylko co ukończonym sezonie jesiennych polowań, wiele psów jest wychudzonych i zbiedzonych. Okoliczności te były powodem nieporozumienia zaraz w pierwszym dniu wystawy między wystawcą, p. Chruszczowem, a sędzią, anglikiem, p. Sznale. P. Chruszczow wystawił trzy znakomite settery irlandzkie, wypisane z zagranicy: psa „Royal-Souverain", który otrzymał championat w Dublinie, i suki „Nelly" i „Asia". Trójka ta już zdobywała najwyższe nagrody na wystawach i próbach polnych w Rosyi. Tymczasem pan Sznale nie chciał potwierdzić tych odznaczeń, rozumując bardzo słusznie, że on nieobowiązany jest sądzić psa podług tego, jak on *może wyglądać*, a tylko podług tego, jak on w danej chwili *wygląda*. To skłoniło p. Chruszczowa do wycofania swych znakomitych irlandczyków z wystawy.

A teraz przystąpmy do bardziej szczegółowego przeglądu psów, trzymając się porządku, zachowanego w katalogu wystawy.

1) *Settery angielskie.* W katalogu wystawy pomieszczono przed każdą z ważniejszych ras, opis cech typowych danej rasy. Zrobiono to zapewne w celu poinformowania publiczności, gdyż sędziowie nie potrzebują szukać wskazówek w katalogu. Nieumiejętne jednak wykonanie zepsuło dobre zamiary. Zaraz na wstępie, przed listą angielskich setterów, wydrukowano cechy typowe tych psów, przetłomaczone ze starej broszury nieboszczyka Laveracka, napisanej przed 40, czy 50 laty. Od owego czasu poglądy na budowę setterów, pod wpływem Purcella-Llevelyn'a, a głównie Stonehenge'a, bardzo się zmieniły. Dawna lawerakowska odmiana rozpłynęła się w masie innych odmian i obecne angielskie settery są wszystkie jednego typu i bardzo się różnią od lawераków, po których oddziedziczyły tylko maść. Trudno zrozumieć, co skłoniło komitet, urządzający wystawę, do przytaczania opisu, mającego tylko historyczną wartość, kiedy cechy typowe dla nowoczesnego, angielskiego settera są dawno ustanowione przez Kennel-Club i przez specyalny klub miłośników tej rasy. Czyżby komitet nie wiedział o tem?

*August Sztolcman.*

*(Dok. nast.)*

# WYPRAWA MYŚLIWSKA
## do Mongolii.

*(Ciąg dalszy).*

W nocy wyruszyliśmy z Feliksem na tok głuszców. Anglika po okropnej jeździe w kibitce, kości tak bolały, że pozostał w domu. Pierwsze to polowanie w Syberyi, więc z wielkiem namaszczeniem do niego się przygotowujemy. O 2-ej w nocy, bo tok oddalony o jakie 12—15 wiorst od wioski, siadamy na malutkie, syberyjskie koniki. O ile koniki, pomimo bardzo niepozornego wyglądu, okazują się mocnemi i wytrwałemi, o tyle wprost niemożliwe są syberyjskie siodła. Kształtem przypominają kozackie kulbaki o wysokich, przednim i tylnym łęku, zrobione są z dwóch kawałków deski, połączonej w górze żelazną skuwką i absolutnie niczem nieobitej. Jak miłem jest siedzenie na takiej kulbace, szczególniej w kłusie, można sobie wyobrazić; przytem strzemiona są tak krótkie, że kolana znajdują się na równi z grzbietem końskim. Na takich to instrumentach, podłożywszy, co prawda, pod siebie kołdry, wyciągniętym kłusem ruszyliśmy na tok.

Mróz dochodził, pomimo upału w dzień, do 7° i nogi w strzemionach silnie marzły. Jechaliśmy ciągle jakąś długą, ciemną szyją. Z obu stron brzegi jej strome, porosłe były lasem, na poły wypalonym, na poły o gęstym, młodym podroście sosny i modrzewia. Szyja taka w górach, gdzie zwykle dołem biegnie strumień, nazywa się „padzię", a strona jej, do południa zwrócona, „sołnopiekiem". Na te sołnopieki wiosną wszystko, co żyje, wychodzi zrana i wieczorem, na ostrożnem więc tu podchodzeniu i pilnowaniu zwierza polega całe wiosenne, syberyjskie polowanie, t. z. „skradom". Powoli windowaliśmy się na przełęcz i czekając świtu, grzaliśmy się przy ogniu.

Gdy pierwsze promienie szczyty cedrów pozłociły, ruszyliśmy na tok, do którego pozostało nam jeszcze parę wiorst. Nigdy podobnej nie wyobrażałem sobie drogi! Przed dwoma laty szalała tu trąba powietrzna i pokotem cały las na przestrzeni kilku wiorst położyła. Ogromne pnie, szczyty zdruzgotanych drzew, sterczące z ziemi na sążeń wysoko, korzenie na pierwszy rzut oka nieprzebytą tworzyły zaporę. I rzeczywiście, nimeśmy przez nią przeszli, spociliśmy się dobrze; gdzieniegdzie na sążeń wysoko po nawalonych pniach, gdzieindziej prawie pełzając na ziemi pod zwisającemi korzeniami, musieliśmy się przesuwać powoli. Dobrze, że przeprawa wszerz była niedłuższą nad ¼ wiorsty. Tok zdziwił mię ogromnie. Był to czysty zupełnie bór, dużemi sosnami porosły, nie tak, jak u nas, gdzie zwykle toki bywają na mchach i moczarach. Ja, dzięki idyocie—przewodnikowi, na tok nie trafiłem, za to Feliks słyszał koło dziesięciu głuszców grających, nie mógł do żadnego podejść i strzelał z karabinu na ogromne odległości. Spędził również 4 sarny, ale daleko.

W południe przyjechał do Istominych sławny myśliwy, ich towarzysz, Burat, Barutin. Na siwym, mongolskim, kudłatym, jak pies, koniku, nizki, krępy, z dużym nożem za pasem i berdanką na soszkach,

t. j. drewnianych podstawkach za plecami, wyglądał jak uosobienie wytrzymałości. Przywitawszy się ze wszystkimi nami, podając rękę, siadł na ławie. Długi czas milczeliśmy. Burat nigdy pierwszy mówić nie zacznie. Po naradzie, zdecydowaliśmy się jechać w górę rzeki In-go, o jakieś 150 wiorst, bo tam koło góry Cybihemu masa ma być, według słów Burata, zwierzyny.

Raniutko o świcie, zabrawszy kociołki do herbaty, pud suszonego chleba i trochę mięsa, ruszyliśmy w podróż. My trzej konno, za nami dwóch Istominych i Barutin, oraz jeden koń z winkiem, gdzie były nasze kołdry, kociołki i t. p. Wszyscy eskortowani przez sześć psów myśliwskich, które miały nam pomagać w polowaniu. Psy te, sławne syberyjskie łajki, wyglądały bardzo *presentable*; jeden z nich szczególnie miał całą głowę i boki w szramach, śladach dziczych i niedźwiedzich karesów. Łajka, według mnie, nie jest osobna rasa psów, ale poprostu typ, wyrobiony z prostego kundla przez ciągłe polowanie. Psy te są najrozmaitszych maści i odcieni. Prawdziwa jednak, najwięcej ceniona łajka, powinna być błyszcząco czarna, o długiej, miękkiej szerści, malutkich, ostro stojących uszach, szerokiej, silnej piersi, suchej łapie i ogromnym, puszystym ogonie. Czem jest dla syberyjskiego myśliwego „promyszlennika" łajka, można z następującego wnosić. Jeden z psów Barutina, nazwany „chodia", co po buracku znaczy „dzielny", ogromnie mi się podobał, a że przypuszczałem, że może nam się przydać na polowaniu, więc zaproponowałem Buratowi, aby mi go sprzedał. Burat uśmiechnął się i zapytał.

— A co dasz?

Buraci mówią tutaj tak, jak i syberyjczyk, wszystkim „Ty" i pomimo zapłaty, niema tutaj panów i służących, tylko zupełnie równoprawni towarzysze polowania. Z początku trochę to nieprzyjemne, bo wszystkie drobne rzeczy, które przywykło się, by inni robili, trzeba samemu spełniać. Na zapytanie, co dam, wiedząc, jak wogóle myśliwi psy cenią, rzekłem:

— No, cóż, dam 100 rb.

Na to on roześmiał się i mówi:

— Ty mi daj tysiąc, to ja go nie oddam. Tego roku, dzięki jemu, zabiłem w zimę 2 niedźwiedzie, 3 sobole i koło 600 sztuk wiewiórek. Policz, co to warte.

I rzeczywiście wynosi to przy tegorocznych cenach około 700 rb. Zrozumiałem, że chyba szczeniaka dostać potrafię, a w żadnym razie dorosłego psa. Tu korzystam ze sposobności, by ustęp ten polecić uwadze tych myśliwych, którzy na wyjezdnem prosili mię koniecznie o przyniesienie im łajki.

Jedziemy ciągle łąkami, wzdłuż rzeki Chiłok, a później In-go. Podziwiam bardzo dowcipne i niekosztowne urządzenie sztucznych zalewów. Korzystając ze znacznego spadku rzeki, włościanie i Buraci sąsiednich wiosek i ułasów zbudowali dużą groblę ze śluzami, od której rozchodzą się: kanał główny i masa pobocznych, tak, że łąki na przestrzeni przeszło 15 wiorst co rok prawidłowo są nawadniane. Z obu stron rzeki wysokie góry, lasem porosłe, gdzieniegdzie ogromne, prostopadłe masy granitu tak rzeką ściekają, że zaledwie wązką drożyną ponad łożyskiem rzeki przesunąć się możemy. Gdzieindziej pniemy się wysoko na górę, a konie nasze cudów zręczności dokazują, przestępując zwolna i ostrożnie z kamienia na kamień, jakby po schodach. Czasami strasznο się robi. Szczególniej mnie, z moją 7-iopudową wagą, wydaje się ciągle, że konik lada chwila się potknie i runie na dół. A w dole straszno! Ostre zręby granitowych łomów wyszczerzają zęby, jakby chciały pochwycić nieostrożną zdobycz. Moi towarzysze zachwycają się wspaniałością odmian granitowych i różnemi żyłami, które w nim dopatrują. Ja, przyznam się, skupiam uwagę, by nie zlecieć, i zerkam, czy też przypadkiem czego żywego na strzał nie zobaczę. A przydałoby się bardzo, bo oprócz herbaty i chleba nie mamy nic z sobą.

Nakonicc przejeżdżamy górę i przed nami rozwija się olbrzymia łąka, gdzieniegdzie jeszcze śniegiem pokryta, na której w odległości wiorstowej, jedne od drugich rozrzucone są jurty burackie. Okrągły, ze skór i wojłoka, niziutki kopiec, cały od dymu zaczerniony, stadko baranów, kilka koni, krów i parę napastliwych, o najeżonej sierści, psów. Na nasz widok wysypują się ludziska i przeciągle „*Mun-droo*" (dzień dobry) zamieniamy z sobą. Koło jednej z większych jurt zatrzymujemy się na krótki, południowy odpoczynek. Przyznam się, że po przejechaniu 50 wiorst czuję się trochę zbity i z przyjemnością rozciągam się na podesłanym wojłoku. W zawieszonym nad ogniem „czajniku", gotuje się herbata, słońce tak ciepło przygrzewa, wojłok taki miękki, czegóż więcej do szczęścia człowiekowi trzeba? Zaczynamy żartować, śmiać się, a tymczasem podają nam w kubkach herbatę; koniom zadają trochę, z jurty wziętego siana, a nas kołem otaczają wszyscy mieszkańcy jurty. Każdy z nich podchodzi, wyciąga rękę, mówi *Mun-droo* i siada w kucki przy ogniu, pykając z fajeczki, najczęściej w srebro oprawnej. Nie mogą jednak długo wytrzymać, zbyt ich wszystko, szczególniej broń nasza interesuje. Uśmiechając się więc do nas, zaczynają oglądać, począwszy od portcigara Feliksa, skończywszy na moim podróżnym nożu, wszystko przez ich ręce przechodzi, przyczem wszystko bardzo ostroznie do rąk biorą i na swojem potem kładą miejscu. Ogromne wrażenie zrobiła moja luneta; z rąk do rąk ją sobie podawali i nadziwić jej się nie mogli. Zdrzemnęliśmy się trochę, jakoż i konie siano dojadały i hajda dalej.

Aż do wieczora jechaliśmy ciągle łąkami, parę razy przez lesiste przedzierając się góry, i porządnie już byłem zmęczony, gdy Barutin, wyciągnąwszy rękę, pokazał nam w oddali jurtę, mówiąc:

— Tam moja żyje.

Po drodze nic żywego oprócz dwóch kaczek chińskich, tu z ptaków nie widzieliśmy. Dość duży to ptak o świetnem upierzeniu, choć bliżej go obejrzeć nie mogłem, bo haniebnie spudłowałem. Co prawda, byłem od nich przeszło 150 metrów.

Jurta Buratina, jako zamożniejszego, składała się z t. z. letnika, t. j. jurty właściwej, i zimowisk, t. j. zrębu z drzewa, przykrytego dranicami; okna szyb nie miały, ale były zaciągnięte płótnem, moczonem w tłuszczu; zamiast pieca w jednym rogu, lepiony z gliny „oczag" z dymem, wprost przez ścianę wychodzącym. U wyjścia spotkały nas dwie nadobne istoty: żona i córka Burata. Można powiedzieć, że dość nawet sympatycznie by wyglądały, gdyby nie to, że prawdopodobnie od przeszłego przynajmniej lata, woda z niemi w zetknięciu nie była. Sądząc po mieszkankach, przypuszczałem, że zimowie fatalnie będzie brudne, widocznie jednak na nasze przyjęcie zostało podmiecione, bo stosunkowo było możliwie.

C. W.

*(D. c. n.)*

# POLOWANIE Z NAGANKĄ

## w niemieckich koloniach Wschodn. Afryki

(*Dokończenie*).

Następnie posuwano się zwolna, jak w zwykłym kotle, z tą różnicą, że i strzelcy, i naganiacze byli zaopatrzeni w broń i inne ostre narzędzia,— z wszelką ostrożnością, gdyż w tym czasie trawy były bujne i krzaki, obrośnięte lianami, przez które tylko murzyn może dopatrzeć się niebezpieczeństwa. Naraz w trawach coś poruszyło się i wychyla się raptownie gło-

wa lwa, najeżona bujną grzywą, z przeraźliwym rykiem, wyrażającym niezadowolenie z przerwania siesty odpoczywającym członkom rodziny. Policmen najbliższy strzelił więc w kierunku wychylającego się lwa, chybił, lecz zakotłowało się w legowisku od pomruku i wycia. Wyskakuje z szalonym rozpędem najprzód lwica, i rozpoczęła się pukanina. Oczy wszystkich skierowane ku lwicy, a z tej sposobności korzystają pozostałe trzy lwy i przedostają się przez linię naganiaczy, truchlejących ze strachu. Strzelanina odbywa się w dalszym ciągu, lecz wobec niewprawnych i bojaźliwych strzelców, bez skutku, przytem krzyki trwożliwe i nieład zupełny; lwica znika i niewiadomo, czy w kotle pozostała i ukryła się w zaroślach. Po doprowadzeniu do jakiego takiego ładu i porządku, obława posuwa się dalej; wtem nagle ukazuje się przed jednym z policmenów wspaniały, stary lew i ze strachu żołnierz zapomina strzelać. Przychodzi mu z pomocą sąsiedni policmen i strzela, lecz lwa ranił tylko. Raniony zwierz gwałtownym susem rzuca się na pierwszego żołnierza, ten pada, lecz równocześnie z nim i lew. Krytyczne położenie wzmaga się, gdyż zewsząd zaczynają strzelać na pastwiącego się lwa, lecz bez zastanowienia się co do kierunku i sytuacyi, i nareszcie następuje radosny okrzyk: „Simba a me kufa!“ (lew zabity). Rzeczywiście lew został nareszcie zabity, lecz z nim razem i biedny żołnierz. Po wyciągnięciu ofiary z pod lwa przekonano się, że zwierz otrzymał tylko kilka pocisków, a w biednym żołnierzu tkwiło przeszło 20 kul. Wyprawa więc nie powiodła się, gdyż nietylko wyżej wspomniany policmen padł ofiarą, lecz nadto okazało się, że 5 negrów było mocno ranionych i dłuższy czas musieli odpokutować narzuconą im odwagę.

W kilka miesięcy później, znowu pokazały się lwy w tej okolicy i odbyto polowanie, lecz tym razem próbowano zwykłego sposobu z sieciami, ale również zakończyło się nieszczęśliwie ze stratą jednego człowieka.

Pierwszy zakład nie powiódł się. W drugim zakładzie natomiast, zaledwie naganka ruszyła i sieci zostały rozstawione, dały się słyszeć wołania „Simba“ (lew), lecz bez krzyku i wrzawy, i nawet na razie zapanowała cisza. Wielu bowiem z naganiaczy ze strachu odmówiło dalszego pochodu i tylko energicznemi namowami kolegów dali się do tego nakłonić. Nareszcie ruszono dalej, postępując początkowo zupełnie cicho, później, po ochłonięciu z trwogi, już ze wrzawą i krzykiem. Gdy już zbliżono się na jakie 150 kroków ku sieciom, wypada nagle z zarośli lew z rykiem i w oka mgnieniu zawraca się i pędzi na linię naganiaczy. Powstaje znowu popłoch między trwożliwymi negrami, którzy bez ładu, jeden przez drugiego, starają się uciec, gdyż to nie antylopa lub mało groźny waterbook, i skoro jeden nieszczęśliwie potknął się o korzenie i upadł, w tej samej chwili dopada go lew i zaczyna wywierać na nim zemstę. Kilku odważniejszych murzynów przyszło mu z pomocą i drągami i dzidami zdołali rozszalałe zwierzę odpędzić, lecz biedak tak był pokiereszowany, iż w dwa dni później ducha wyzionął.

Lew ukrył się w zaroślach; nieszczęście negra podrażniło nerwy towarzyszów i postanowiono pomścić się na okrutniku. Zebrawszy się w koło, zaczęto się naradzać nad dalszą obławą. Przekonawszy się, że sposób polowania siecią nie prowadzi do celu, postanowiono wypożyczyć od europejczyków broń, zabrać z poblizkich osad topory, siekiery i dzidy i urządzić z drzewa palisady. Energicznie przeprowadzono tego rodzaju obarykadowanie legowiska lwa i ponieważ zmierzch przeszkodził dokończeniu polowania, zapalono stosy drzewa, które przez całą noc się paliły i lwa zmusiły do pozostania w kryjówce. Nazajutrz rano, gdy przekonano się o dokładnem zablokowaniu, najodważniejsi i więcej wprawni strzelcy w używaniu broni, zajęli stanowisko na drzewach, naganiacze zaś, ulokowani na palisadach, rozpoczęli krzykiem, bębnieniem niepokoić lwa. Z początku lew nie wychodził, lecz do wściekłości doprowadzony piekielnym krzykiem i strzałami do środka, nareszcie z rykiem wyskoczył z kryjówki i rzucił się na palisady, starając się pazurami i paszczęką wyrobić sobie otwór do ucieczki.

W tej pozycyi strzał dla wprawnego myśliwego byłby rozkoszą i powaliłby rozjuszone zwierzę. Strzał padł wprawdzie od strony najbliżej usadowionego na wysokiem drzewie, negra, lecz z tym tylko rezultatem, że pocisk, przelatujący około lwa, zwrócił go i lew instynktownie rzucił się na drzewo, zaczął szarpać, aby wywrzeć zemstę na napastniku. Zawiedziony lew, porzuca to drzewo i biegnie w innym kierunku między gęściej stojącemi drzewami, na których usadowieni byli strzelcy. Pukanina na dobre się rozpoczęła i nareszcie lew pada, przebity kilkunastu pociskami. Ogólna radość tedy powstała, z okrzykiem „Simba a me kufa“ rzuca się rozszalała horda na napastnika, i każdy uczestnik stara się toporem, dzidą lub innem narzędziem ukłóć cielsko nieprzyjacielskiego zwierza, chcąc dogodzić aktowi zemsty. Następnie w pochodzie trymfalnym zaniesiono skórę upolowanego zwierza w darze naczelnikowi obwodowemu w Mikendini, który musiał mieć pocieszną minę, skoro bliżej przypatrzył się ofiarowanej skórze, gdyż przedstawiała same strzępy, i najzdolniejszy europejczyk nie zdołałby jej zeszyć.

## Polowanie prezydenta Francyi.

W czasie pobytu króla Wiktora Emanuela we Francyi, prezydent Loubet wyprawił polowanie w Rambouillet dnia 17-go października r. b. Oprócz króla i prezydenta, w polowaniu tem wzięło jeszcze udział ośm osób z pomiędzy świty królewskiej i wysokich dygnitarzy miejscowych.

Polowanie zaczęło się ławą (sztrejfem) w t. zw. *ferme de lapins*. Każdy z myśliwych posuwał się duktem, przeciętym umyślnie na ten rodzaj polowania. Środkową przecinką szedł król włoski, mając po prawej stronie prezydenta Loubeta, a po lewej — prezesa senatu, p. Fallieres. W ławie tej odznaczył się prezydent, który też zabił najwięcej sztuk. Następnie wzięto kilka naganek na bażanty i ukończono polowanie o godzinie 4-ej popołudniu, mając na rozkładzie 641 sztuk, a mianowicie: 382 bażanty, 3 zające, 5 kuropatw, 1 dzięcioła zielonego *(sic)*, 244 królików i 6 sarn. Król zabił 130 sztuk, bijąc o kilka punktów prezydenta Loubeta.

„Figaro“ z tego powodu mówi, że prezydent ma „strzelbę dyplomatyczną“, gdyż łatwo mógł przestrzelać króla. Dziennik ten przypomina też, że prezydent Felix Faure miał także „strzelbę dyplomatyczną“, gdyż sam strzelając znakomicie, pozwalał się zawsze przestrzelać zaproszonym, dostojnym gościom, choćby o kilka punktów. Robił to jednak tylko z panującymi większych państw lub z książętami krwi. Zdarzyło się jednak w 1896 r., że miał w gościnie panującego księcia bardzo małego państewka (niewątpliwie księcia Monaco). Prezydent wykierował tak, że miał 107 sztuk, t. j. tyle, co jego gość.

Jakkolwiek wszystkie gazety paryskie wychwalają sposób strzelania króla Wiktora Emanuela i prezydenta Loubeta, słyszeliśmy od osób wiarogodnych, że pierwszy z nich strzela bardzo słabo, a drugi — niewiele lepiej od niego.

*J. S.*

## NAPADY DZIKICH ZWIERZĄT.

(z Afryki wschodniej.)

Zagraniczne pisma myśliwskie notują często fakty napadów zwierząt na ludzi w Afryce wschodniej, zarówno w czasie polowania, jak i na spokojnych krajowców, lub nawet na dzieci.

W ostatnich czasach nadeszła wiadomość z Dar-es-Salâm, że raniony słoń — samiec, rzucił się na myśliwego, wyższego oficera Pfeiffera z wojska, obozującego w Afryce wschodniej, którego rozdarł na kawałki. Podobnie smutny wypadek zdarzył się przed kilku miesiącami kupcowi Stefaniemu, który jednak zdołał się uratować szczęśliwie. P. Stefani dał kilka strzałów do olbrzymiego słonia i wpakował ostutnią kulę słoniowi w okolicy ucha. To widocznie najbardziej rozdrażniło zwierza, który chwycił p. Stefaniego trąbą i cisnął z pewnej wysokości w muł, by nogami przydeptać nieszczęśliwego myśliwca. Czy to jednak rozszalałe zwierzę nie uważało dokładnie, czy też jego ofiara miała bardzo miękką podściółkę w postaci błota, dosyć, że gdy obławnicy odpędzili ryczącego słonia, Stefani, pewny już swojej śmierci, mógł wstać o własnej sile. Towarzyszący mu murzyni, którzy w czasie niebezpieczeństwa powłazili na wysokie drzewa, niemało byli zdumieni, ujrzawszy, że pan ich ocalał.

Niedawno również zakończył tam życie znany myśliwy na słonie, Zimmer, który, zraniwszy nosorożca, podszedł doń nieostrożnie, przyczem zwierzę wzięło go na róg i tak długo tarmosiło, podrzucając myśliwego w powietrze, dopóki nie odrzuciło go od siebie tak daleko, że nie mogło go już dosięgnąć, ponieważ ciężka rana nie pozwoliła chodzić zwierzęciu.

W oryginalny sposób dokonał żywota przed pewnym czasem jeden z wyższych oficerów w Afryce wschodniej. Zraniwszy ciężko lwa na polowaniu, myśliwy nie zdążył usunąć się w porę, a trafione zwierzę, wskoczyło na niego i powaliło go na ziemię. Oficer był jednak o tyle przytomny, że gdy low leżał już na nim, wymierzył po raz drugi i wpakował mu jeszcze jedną kulę, ale siebie już nie uratował. Nazajutrz znaleziono oficera bez życia, jak leżał w polu pod martwym również lwem. Ratunek był już spóźniony.

Zeszłej jesieni na polowaniu w nocy napadł lew na radcę stanu, von P., który bawił wówczas w Afryce. Na szczęście miał on w pobliżu pomoc. Gdy jednak zjawili się ludzie, jednocześnie przybyły jeszcze trzy lwy. Myśliwi ubili jednego lwa starego, drugi zaś i dwa młode lewki zdołały ujść strzałów. Zanim pomoc przybyła, lew pierwszy zgruchotał nogę radcy von P. O tymże czasie oficer wojska wschodnio-afrykańskiego, odbywając podróż służbową po rzece Pargani, został napadnięty przez hippopotamy, które wywróciły łódź, przyczem utonęła wszystka broń oraz przyrządy naukowe. Gdy murzyn z załogi zanurzył się w wodzie w celu ratowania przyrządów, porwał go krokodyl.

Liczba krajowców, których uśmiercają rocznie drapieżniki afrykańskie, sięga bardzo poważnych rozmiarów. Nie wszystkie bowiem wypadki dochodzą do wiadomości władzy miejscowej. Najwięcej dokuczają w Afryce wschodniej lwy, które częstokroć napadają chaty murzyńskie i porywają stąd ofiary. W pobliżu stolicy Dar-es-Salam co miesiąc powtarzają się podobne napady w wielu osadach. Dalej są bardzo niebezpieczne w tamtych stronach lamparty i hyeny, które przeważnie porywają dzieci. Również dokuczają bardzo krokodyle, które kryją się w pobliżu brzegu i w miejscach, gdzie się odbywa czerpanie wody: nieostrożnych afrykańczyków chwytają i wciągają do rzeki. Wypadki takie są tam prawie na porządku dziennym.

Wreszcie napadają ludzi węże, nosorożce, hippopotamy i bawoły. Ostatnie trzy gatunki są szczególnie niebezpieczne na polowaniu, często jednak napastują każdego spokojnego przechodnia, którego spotykają po drodze.

*K.*

# Rezultaty konkursów strzeleckich.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom rezultaty tegorocznego konkursu strzeleckiego były ujemne. Ujemnemi nazywamy te rezultaty dlatego, że konkursy wśród tutejszych strzelców—sportsmenów nie wywołały oczekiwanego zainteresowania, a co za tem idzie, i udział współzawodniczących był bardzo ograniczony.

Niemniej oddziałowi tutejszego Towarzystwa prawidłowego myślistwa należy się słowo uznania za poniesione koszta i starania w celu rozbudzenia ruchu w kierunku sportu strzeleckiego, co między innemi winno zawsze stanowić jedno z głównych jego zadań. Przecież myśliwy powinien umieć strzelać, i to strzelać dobrze, jeśli na miano dobrego myśliwego chce sobie zasłużyć, przeto każde Towarzystwo łowieckie winno się starać o wyrobienie dobrych strzelców. A gdzież się uczyć i wprawiać w strzelanie, jak nie w strzelnicy? W polu—zapóźno. Tam już trzeba strzelać dobrze, aby nie kaleczyć, tylko zabijać, jeśli się chce być prawidłowym myśliwym, a nie zwykłym, jak Niemcy mówią, *Sontagsjägerem*.

To też pomimo niepowodzenia tegorocznego, nasze Towarzystwo łowieckie nie powinno zaniedbywać urządzenia konkursów strzeleckich w przyszłości. Radzilibyśmy jednak zmienić porę urządzenia tych popisów. Pora jesienna, gdy sezon myśliwski jest w całej pełni, gdy każdy do woli może się nastrzelać w polu i kniei; gdy dzień krótki, a dnie niepogodne—urządzanie konkursów w strzelnicy chybia celu i nigdy większej frekwencyi nie wywoła. Maj i czerwiec zdają się być miesiącami, wskazanemi do urządzenia tego rodzaju konkursów, albowiem stanowić będą miłą dla każdego myśliwego rozrywkę, bo wśród martwego zupełnie sezonu, każdy strzelec tęskni do swej broni i spragniony jest odgłosu strzału, który mu gra w uchu, jak najpiękniejsza muzyka.

Przechodząc do rezultatów ostatnich konkursów, zaznaczamy, że nowych strzelców nie wyprowadziły one na światło dzienne. Nagrodę wzięli strzelcy znani i uznani, a konkurencya z nimi okazała się tak trudną, że nawet nie wszystkie nagrody rozegrano, bowiem udział znanych matadorów, pozbawił chęci próbowania sił swoich strzelców mniej wprawnych, czy mniej siebie pewnych. W konkursie nastrój nerwowy strzelca gra wielką rolę, to też dziwić się nie można, że wiedząc, iż probować się mamy z najlepszymi strzelcami, napięte nerwy zadrgają w najniewłaściwszej chwili, pozbawiając rękę i oko potrzebnego przy strzale, spokoju i pewności.

Luźną tę uwagę wtrącamy tu dlatego, że należy to uwzględnić przy układaniu warunków przyszłych konkursów. Wprawdzie i w tym roku zwycięzcy zostali zhandicapowani, jednak różnice widocznie były zamałe, skoro współzawodnictwa nie wywołały.

*Konkurs pistoletowy na 16 metrów* pozostał nierozegrany, z powodu niewypełnienia przez kunkurujących, warunków konkursu. Nikt bowiem pięciu dobrych tarcz nie przedstawił.

*Konkurs pistoletowy do manekina* na 25 metrów, na komendę. W konkursie tym trzech uczestników zrobiło maksymalne serye po 35 punktów, a mianowicie: pp. Aleksander Nelken, Stefan Kretkowski i Stanisław Lilpop. Wobec tego komitet konkursowy wyznaczył im rozgrywkę na dzień 24 października. Ponieważ jednak pan Kretkowski dał znać telegraficznie, iż na termin stawić się nie może z powodu nawału zajęć, które go na wsi zatrzymują, pp. Lilpop i Nelken postanowili nie wyzyskiwać tej szansy i zgodzili się stanąć do rozgrywki wówczas, gdy pan Kretkowski będzie mógł przybyć do Warszawy. Prawdziwie po gentlemeńsku postąpili sobie konkurujący, według

bowiem regulaminu konkursowego, niestawający na termin do rozgrywki uważa się jako zrzekający się dalszej konkurencyi. W danym wypadku p. Kretkowski musiałby ograniczyć się na III nagrodzie, a dzięki uprzejmności swoich współzawodników, będzie miał możność spróbować szczęścia.

*Konkurs do celu ruchomego (zająca) na 40 metrów z broni śrótowej.* W konkursie tym stale zwycięża p. Ignacy Grzędzica, który wziął wszystkie pierwsze nagrody w tym konkursie. Tym razem, jako zwycięzca, został zhandicapowany i musiał robić seryę z 15 zajęcy, gdy nienagrodzonym wystarczała serya z 10 zajęcy. Długi czas nikt nie kwapił się ze strzelaniem w tym konkursie, z góry bowiem przeczuwano, że zjawi się ów niezwyciężony dotychczas, pogromca i swoją seryę zrobi, a rozgrywać się z nim trudno. I tak się stało. P. G. pod koniec konkursu przyjechał, przewrócił 17 zajęcy i wyjechał. Do konkurencyi wystąpił tylko p. Wacław Paszkowski, który zrobił seryę z 10 zajęcy. Komitet wyznaczył rozgrywkę tym dwóm konkurentom na d. 24 października, która dała następujące rezultaty: p. Grzędzica przewrócił cztery zające, na piątym spudłował, p. Paszkowskiemu zaś szczęście nie dopisało. Wobec tego nagrodę I-ą, żeton złoty i przedmiot wartościowy, przyznano p. Grzędzicy, a nagrodę II-ą, żeton srebrny i przedmiot wartościowy, przyznano p. Wacławowi Paszkowskiemu. Pozostałe nagrody nierozegrane. P. Grzędzica strzela z dubeltówki wyrobu Jencza z Odesy z lufami Whitwortha o pełnych czokach, p. Paszkowski zaś z dubeltówki świeżo nabytej, Purdeya, również o pełnych czokach.

*Konkurs do celu ruchomego (kozła), ukazującego się na 5 sekund, na 40 metrów z broni kulowej* (z wyłączeniem broni małokalibrowej o bocznem uderzeniu). W konkursie tym największą ilość kwadratów, 407, zrobił pan kapitan Aleksander Żabczyński, przyznano mu więc nagrodę I-ą, żeton złoty i przedmiot wartościowy; nagrodę II-gą, żeton srebrny i przedmiot wartościowy, przyznano p. Stanisławowi Lilpopowi za 387 kw.; nagrodę III-ą, żeton bronzowy, p. Stefanowi Kretkowskiemu za 353 kw. Kapitan Żabczyński strzelał z broni systemu wojskowego 3-linijnej, przerobionej do użytku myśliwskiego, magazynowej.

*Konkurs do celu ruchomego (dzika) na 80 metrów z broni kulowej* (jak wyżej). Nagrodę I-ą, żeton złoty i przedmiot wartościowy, przyznano p. kapitanowi Aleksandrowi Żabczyńskiemu za 469 kw., nagrodę II, żeton srebrny, hr. Stanisławowi Zyberk-Platerowi za 425 kw. Pozostałe nagrody nierozegrane.

*Konkurs do tarczy na 100 metrów z broni kulowej* (jak wyżej). Nagrodę I-ą, żeton złoty i przedmiot wartościowy, przyznano p. kapitanowi Aleksandrowi Żabczyńskiemu za 3 najlepsze tarcze (39, 16 i 2 kw. = średnio 19 kw.); nagrodę II-ą, żeton srebrny, p. Schultze z Łodzi (59, 32, 31 kw. = średnio 44 kw.); nagrodę III, żeton bronzowy, p. Knaack z Łodzi (67, 46, 31 kw. = średnio 48 kw.). Pozostałe nagrody nierozegrane. Pp. Schultze i Knaack są przedstawicielami Towarzystwa strzeleckiego w Łodzi i specyalnie przybyli do Warszawy, aby się spróbować ze strzelcami warszawskimi, którzy jednak tym razem, z wyjątkiem niezwyciężonego kapitana Żabczyńskiego, do apelu nie stanęli.

Z uwagi, że p. kapitan Żabczyński wziął trzy pierwsze nagrody, do których dodają się przedmioty wartościowe, komitet konkursowy zaproponował p. Ż., aby zgodził się na jeden przedmiot, którego wartość wyrównywałaby trzem wygranym. P. kapitan chętnie na to przystał. Komitet przeto będzie miał przyjemność doręczenia cenniejszego daru wybornemu strzelcowi.

## KORESPONDENCYA ŁOWCA POLSKIEGO.

*Ostrołęka, we wrześniu.*

Zaczynam coraz więcej wątpić, czy w całym obszarze Królestwa, jest drugi kąt, tak po macoszemu traktowany pod względem ochrony zwierzyny, jak powiat Ostrołęcki. Zaiste takiej swobody w tępieniu wszelakiej zwierzyny i w każdej porze, nie spotka się napewno gdzieindziej. Zdawałoby się, że cała męska połowa ludności powiatu Ostrołęckiego nie ma nic więcej do roboty, tylko polować w niedzielę i święta na wsze strony, istna kanonada, robi wrażenie jakby gdzieś nie daleko odbywała się rewia. Czemu to przypisać? Czy tylko nadzwyczajnej ochocie do fuzyi, czy też przeważnie zupełnej bezkarności? Jakkolwiek pierwsza przyczyna jest poważną, zdaje się przecież, że nieograniczona faktycznie swoboda posiadania broni, gra tu ważniejszą rolę. — Ci, którzy z racyi swego urzędu i służby winniby przestrzegać przepisów, patrzą na wszystko przez szpary, i tem samem, upoważniają tych ostatnich do lekceważenia wszelkich praw, mających na celu obronę zwierzyny. Jak dalej tak pójdzie, to nie upłynie i kilka lat, a zając i kuropatwa w naszym powiecie przejdą do mytów...

Nic dziwnego przeto, że dotąd w „Łowcu Polskim“ nie spotkałem się nigdy z korespondencyą z naszych okolic, w którejby ktoś z braci nemrodów opisał jakieś więcej interesujące polowanie, lub zaznaczył jakąś chęć zaradzenia złemu; poprostu niema o czem pisać dobrze, źle nie zawsze ma się możność i ochotę...

Obowiązek jednak wymaga podniesienia tej plagi w jedynym, specyalnym naszym organie, a może takie publiczne przedstawienie sprawy wywoła jakąś energiczniejszą działalność ze strony tych, którzy przedewszystkiem są powołani do nadzoru nad sumiennem wypełnieniem obowiązków przez podwładne organy...

# Z SĄDÓW.

„Słowo“ podaje następujące sprawozdanie z procesu odszkodowania za szkody, zrządzone przez zwierzynę.

P. Szwejcer, właściciel dóbr Rzeczyca, graniczących z leśnictwem Lubocheńskiem, wytoczył w sądzie okręgowym piotrkowskim powództwo przeciwko zarządowi polowań Cesarskich o 2.204 rb. odszkodowania za szkody, zrządzone w listopadzie 1901 r. przez zwierzynę, wychodzącą z lasów Lubocheńskich na pola powoda.

Popierający akcyę obrońca powoda, adw. przys. Chudzyński, dowodził, iż w myśl art. 1385 i 1383 kod. Napoleona, zarząd polowań Cesarskich odpowiedzialny jest za wyrządzone powodowi szkody, gdyż w celach łowieckich rozmnaża, hoduje i ochrania w lasach Księstwa Łowickiego dzikie zwierzęta (sarny, jelenie, dziki), które stratowały pola w dobrach Rzeczyca. Na poparcie swego twierdzenia, obrońca powoda powołał się na orzeczenie Senatu Rządzącego z dnia 2 (15) października 1902 r. w analogicznej sprawie Henryki Eitner i innych przeciwko zarządowi dóbr Ostrowy.

W imieniu pozwanego zarządu polowań Cesarskich przemawiał obrońca prokuratoryi Królestwa Polskiego, adw. przys. Wróblewski, który domagał się oddalenia powództwa ze względów następujących: Stosownie do brzmienia art. 1385 kod. Napoleona, istotnym warunkiem odpowiedzialności za szkody i straty, zrządzone przez zwierzę, jest posiadanie tego zwierzęcia, użytkowanie zeń, panowanie nad niem. Powód zaś żąda wynagrodzenia za szkody, spowodowane przez dzikie zwierzęta, które nie były zupełnie w posiadaniu pozwanego zarządu. Właściciel lasu odpowiadać może za szkody, wyrządzone przez zwierzynę, tylko o tyle, o ile skonstatowano winę jego, niedbalstwo lub nieostrożność (art. 1382—1383 kod. Nap.). Jako taką właśnie winę p. S. podaje zabiegi zarządu około zachowania w lasach Księstwa Łowickiego zwierzyny. Zwierzyna wogóle do nikogo nie

należy, a podlega jedynie w myśl. art. 715 kod. Napoleona, prawu korzystania z polowań i łowienia zwierzyny, przysługującemu właścicielowi tego gruntu, na którym się zwierzyna znajduje podczas polowania.

Sąd okręgowy powództwo p. S. oddalił.

## Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

W dniu 19 października zebrała się Delegacya Wyborcza. Na mocy balotowaniu, następujący kandydaci zaliczeni zostali w poczet Członków Rzeczywistych:

Pp. Toszkiewicz Piotr z Radomia, Zatorski Karo z Warszawy, Hr. Ostroróg—Sadowski Kaźmierz z Warszawy, Donimirski Antoni z Warszawy, Krause Stanisław z Warszawy, Wajss Stanisław z Warszawy, Hercberg Wacław z Warszawy, Müller Gustaw z Warszawy, Łaski Stefan z Sobolewa, Roszkowski Kazimierz z Gończyc, Łętowski Aleksander z Warszawy, Wittyg Witold z Warszawy, Łączkowski Marceli z Małej wsi.

*Posiedzenie Rady, 21 października.* Członek Oddziału, p. Dobrzański, zwrócił się do Rady z żądaniem, aby wyjednała gdzie należy, rozporządzenie o wzmocnieniu kontroli nad wiejskimi kowalami, ślusarzami i mechanikami wszelkiego rodzaju, którzy stanowią głównych dostawców, zaopatrujących kłusowników wiejskich w różnego wyrobu samopały, począwszy od dubeltówek, a skończywszy na strzelbach własnego wyrobu. Przytem gorliwy rzecznik spraw łowieckich, p. D., pragnąłby również, aby sądy wymierzyły surowsze kary za kłusownictwo, aniżeli dzieje się to dotychczas. Co do rozciągnięcia nadzoru nad karygodną działalnością kowali i t. p. Rada postanowiła odnieść się do pp. gubernatorów z prośbą o wydanie odnośnych poleceń, co zaś do podwyższenia stopnia kary za kłusownictwo, rzecz ta przekracza kompetencyę naszego Towarzystwa, sprawa ta wymaga zmian prawodawczych. Zresztą i dziś obowiązujące kary, byłyby do pewnego stopnia wystarczającemi, gdyby sądy stosowały je w całej rozciągłości. Niestety, jednak kłusownictwo traktowane jest częstokroć zbyt pobłażliwie.

*Posiedzenie Wydziału Ochrony i polowań, 26 października.* Po opracowaniu projektu polowań zimowych w ciągu bieżącego sezonu, wydział postanowił urządzić 7 polowań, na 15 strzelb każde, czyli, że w polowaniach tych będzie mogło wziąć udział 105 Członków naszego Towarzystwa. Terminy i tereny wyznaczono, jak następuje:

1. 21 listopada — obręb Pgorzel,
2. 28 listopada — „ Łucznica Dolna,
3. 5 grudnia — „ Warszewiec,
4. 12 grudnia — „ Augustówka,
5. 19 grudnia — „ Sobienie hr. Jezierskiego,
6. 9 stycznia — „ Rudnik i Łucznica Górna,
7. 16 stycznia — „ Rogalec i Sęk.

Terminy polowań NN. 3 i 5 mogą uledz zmianie, bowiem zastosowane być muszą do stanu aury. Są to tereny bagniste, mogą więc być opolowane tylko podczas mrozów. O ile w wyznaczonych terminach wypadłaby długotrwała odwilż, polowania odbędą się w innych datach, o czem uczestnicy, biorący udział w tych polowaniach, będą zawiadomieni przez Członków Wydziału, prowadzących polowanie na owych terenach. Pragnący wziąć udział w polowaniach zbiorowych, mogą się zapisać w kancelaryi Towarzystwa w czasie od 1 do 9 listopada do godziny 8-ej wieczorem włącznie, poczem bezpośrednio odbędzie się rozlosowanie Członków, zapisanych na wymienione polowanie. Zapis na polowanie wynosi 8 rub. 50 kop. Zapis w r. b. podwyższono z uwagi, że zeszłoroczne polowania kosztowały znacznie więcej, aniżeli Wydział ma wyznaczone w budżecie na koszta urządzania tych polowań, co dołożyć musiał ze swojego budżetu. Zapisy przyjmowane będą tylko od tych Członków, którzy mają zapłaconą składkę bieżącą. Niektóre z wymienionych polowań wymagają dwóch naganek, wobec tego postanowiono, że każda naganka pojedyncza winna się składać ze 180 ludzi, podwójna zaś z 260 ludzi.

# OGÓLNE ZEBRANIE.

Pewna grupa Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa przyszła do przekonania, że Oddziałowi potrzebny jest radca prawny z po za koła Członków, któryby równocześnie był zastępcą sekretarza Oddziału w charakterze naczelnika kancelaryi. Ponieważ czynności Towarzystwa są wielce rozgałęzione i wymagają dużego nakładu pracy, przeto grupa owa, stawiając wniosek o utworzeniu tej posady, zaprojektowała pensyę dla radcy prawnego w sumie 2,400 rubli rocznie, z nadmienieniem, że najodpowiedniejszym kandydatem na ową posadę byłby pan Romuald Więckowski, który właśnie złożył swój urząd Sekretarza Członka Rady i prosił o wykreślenie go z listy członków. Nadto dla silnego ugruntowania przyszłego naczelnika kancelaryi na jego stanowisku, zaprojektowano, że w razie konieczności usunięcia go z posady, otrzyma jednorazowo dwuletnią pensyę.

Rada, otrzymawszy taki wniosek, podpisany przez wymaganą przez ustawę, liczbę Członków, zwołała nadzwyczajne Ogólne Zebranie w d. 28 października i wniosek ten poddała pod obrady.

Rozprawy były krótkie i Ogólne Zebranie, złożone ze 121 Członków, wniosek uchwaliło większością 99 głosów przeciwko 18.

Ponieważ w ostatnich czasach dało się zauważyć pewne wrzenie wśród grona członków Towarzystwa, co wywoływało różnorodne komentarze, przeto pan Biernacki dla wyświetlenia sytuacyi postawił wniosek o udzieleniu wotum ufności dla urzędującej obecnie Rady, który Ogólne Zebranie jednogłośnie przyjęło.

Przewodniczył obradom p. Blumental; asesorami byli pp. Aleksandrowicz i dr. Przyborowski, na trzymającego pióro zaproszono p. Wl. Kępińskiego.

Wobec powyższej uchwały Ogólnego Zebrania i usunięcia się z urzędu sekretarza Towarzystwa oraz innych zmian w składzie mandataryuszów oddziału, za dwa tygodnie odbędzie się nowe Zebranie Ogólne dla dokonania wyboru nowego Sekretarza, Gospodarza lokalu i obsadzenia opróżnionych urzędów w Radzie.

Należałoby, aby pp. Członkowie, którym dobro Towarzystwa leży na sercu, zajęli się bezzwłocznie sformowaniem listy kandydatów na opróżnione urzędy, a następnie jaknajliczniej zebrali się dla odbycia głosowania. O terminie zebrania wyborczego rozesłane zostaną oddzielne zawiadomienia.

# Drobiazgi myśliwskie.

**Przestroga.** Z nabywanym obecnie śrótem angielskim „Newcastle Chilled Shot Comp", należy być ostrożnym, i kupując, sprawdzać średnicę śrótu. Numeracya jest zmieniona. Zapytywana w tym względzie fabryka daje odpowiedzi wymijające i nic się ścisłego dowiedzieć nie można. Bardzo tem zainteresowany, brałem całe partye śrótu z trzech źródeł, otrzymujących śrót wprost z fabryki, i przekonałem się, że nietylko numeracya jest zmieniona, ale wskazane numera śrótu nie odpowiadają nawet żadnym innym, dotąd przez fabrykę wyrabianym, co dowodzi, że albo sortowanie jest niedbałe, albo zmieniono sita, nie uprzedzając o tem odbiorców. To ostatnie przekonanie, wyrażone w Niemczech, wydaje mi się nieprawdopodobnem, z uwagi na olbrzymi koszt, jaki pociąga

za sobą zmiana sit metalowych, służących do wyrabiania śrótu. *Wł. Słonczyński.*

**Walka z lisami**. W dobrach Jadowsko-Łochowskich Zdzisława hr. Zamoyskiego, w miesiącach maju i czerwcu r. b., straż leśna przy pomocy 5-u taksów, wykopała w 14-tu jamach i zabiła przy nich 70 lisów, a w tej liczbie 4 stare psy, 4 stare suki, 23 młodych psów i 39 młodych suk. W roku zeszłym na tej samej przestrzeni wykopano 44 lisów.

**Z Galicyi zachodniej** donoszą pod datą 7 października, że ruja sarn odbyła się tam niepomyślnie, wskutek niesprzyjającej pogody. W rewirze Kamień zabito tylko 9 kozłów, z czego 2 jeszcze w czerwcu, a resztę podczas rui; 3 na podjazd i 4 na wabia, gdyż z wyjątkiem 4 września, żaden kozioł nie szedł na wab. Polowania na kuropwtwy były, jak przewidywano, bardzo niedobre. Natomiast na zające zapowiada się polowanie o wiele lepsze. Pierwsze słonki jesienne widziano tam już d. 16 września.

**Niedźwiedzie w Sarowie**. W rosyjskiem wydawnictwie ludowem M. Makarewskiego, wydrukowanem w roku bieżącym w Petersburgu, czytamy między innemi, że w Sarowie, na pograniczu tambowskiej i niżegorodzkiej gubernii, w odległości 60 wiorst od najbliższej stacyi kolei (Arzamas kolei Moskiewsko-Niżegorodzkiej), prawosławny święty Serafim polecił, aby w puszczy Sarowskiej nie zabijano niedźwiedzi. Przestrzegają tego dotąd ściśle i „nie było wypadku—czytamy dalej—, aby niedźwiedź sarowski ruszył człowieka; spotyka się, bywało, z zakonnikiem (pustelni prawosławnej), obwącha go i precz odchodzi."

**O pożyteczności kuropatwy dla rolnictwa** czytamy w czasopiśmie „Hann. Courier" ciekawą wzmiankę następującej treści. Kuropatwę, którą podczas żniw, kosa nieuważnego żniwiarza pozbawiła życia, poddano ścisłej obserwacyi, mianowicie zbadano gardziel i żołądek. Znaleziono około trzystu różnych nasion rozmaitego zielska i chwastu, jako to: dziki mak, kąkol, gorycznik, oset i inne ziarnka. Oprócz tych ziarnek chwastu, znajdowały się różne muszki, pająki, ślimaki, poczwarki, czerwie, gąsienice i t. d. Jeżeli, zważymy że każda kuropatwa ze stadka, od 12 do 15 sztuk liczącego, codziennie spożyje około 300 różnych ziarnek chwastu i 300 różnych robaków i owadów szkodliwych, to 600 razy 15 sztuk wyda pokaźną sumkę 9000 sztuk różnych szkodników w rolnictwie, które poczciwe kuropatwy usuwają rolnikowi. Wiadomo, że drobne ślimaki ogromną szkodę wyrządzają jesiennym zasiewom. Jak zaś wielkie bywają szkody, dowodzi statystyka z 1890 r., w którym to roku miliony ślimaków pełzały po zasiewach i nietylko obgryzły młodziutką ruń zieloną, lecz nadto pozostawiały klejącą ciecz, od której niszczały oziminy. Na Szlązku szczególnie grasowały te robaki, i tysiące mórg prawie doszczętnie zniszczyły, tak, iż trzeba było zaorać te pola. W ostatnich latach ulubionym przysmakiem była mucha heska (*cecidomyia destracton*), która takie spustoszenie uczyniła w pszenicy. Mucha heska składa niezliczoną ilość jajek, z których w czerwcu powstają poczwarki i gromadnie zjadają źdźbła pszenicy. W tępieniu tych żarłocznych owadów znów kuropatwy oddały usługę rolnikom. Jeżeli podczas siewu zboża lub z dojrzewających kłosów czasami kuropatwa uszczknie jakie ziarnko, ubytek ten jest tak mały, że nie równoważy użyteczności, jaką kuropatwy przedstawiają dla rolnika pod każdym względem, czego najlepiej udowodniło zbadanie zawartości żołądka i gardzieli w powyżej opisanym wypadku.

# Kronika Myśliwska.

W d. 17 października polowano w dobrach Jabłonna hr. Augusta Potockiego w 10 strzelb i zabito 156 zajęcy, 3 słonki i 2 jastrzębie.

W dniu 24 października polowano w Rozalinie pod Łochowem u p. Michała Siemiradzkiego. W 10 strzelb zabito 51 zajęcy i skonstatowano znaczne polepszenie zwierzostanu, który przed paru laty nie przedstawiał żadnego myśliwskiego interesu. Opieka i troskliwa ochrona zamiłowanego w myślistwie gospodarza, uczyniły polowania Rozalińskie bardzo przyjemnemi jesiennemi polowaniami dla stałych uczestników tej zabawy.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Prenumeratorowi.* Gilzy metalowe dają ostrość i pokrycie, gorsze od papierowych—przyczem używane wielokrotnie, wpływają szkodliwie na kamerę broni. *Wł. Słonczyński.*

*Prenumeratorowi.* Ładunek odpowiedni dla broni 20° kalibru wynosić powinien: 4 gramy prochu średniej ziarnistości i 24 gramy śrótu.

Świadectwo, jakie pan otrzymał od składnika, jest zupełnie wystarczające i nic więcej wymagać nie można. *Wł. Słonczyński.*

*P. F. Leśniewskiemu.* Prosimy bardzo o nadsyłanie wiadomości, które, jako pochodzące od znawcy, zawsze dla myśliwych przedstawiają prawdziwy interes.

## Treść Nr 21 „Łowca Polskiego".



Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

**W Warszawie:** rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

## OGŁOSZENIA.